Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Oglądałem obrazy na Ekranie przy wyłączonym dźwięku, dlatego alarmujący terkot brzęczyka przy drzwiach wejściowych od razu postawił mnie na baczność. Wciąż jeszcze mając przed oczami nagie kobiece ciała w przeróżnych pozach, zerwałem się z fotela i zakradłem do przedpokoju. Kwadratowy czytnik pulsował zielonym światłem i drzwi właśnie zaczęły się otwierać; przy natrętnym akompaniamencie brzęczyka przesuwały się w lewo, aż zniknęły w otworze ściennym.

Przywarłem plecami do porowatej ściany. Starałem się zagłuszyć głos, który radził mi zamknąć oczy i przyjąć bez walki to, co ma się wydarzyć.

Żeby zachować przytomność umysłu, liczyłem uderzenia serca. Doliczyłem do siedemdziesięciu pięciu. Nadal nic się nie działo. Zebrałem się na odwagę i na palcach podszedłem do drzwi. Stojąc tuż za progiem, wytężałem słuch. Ciszę mąciło tylko dudnienie w uszach. Krew uderzała mi do głowy szybkimi falami i kotłowała się pod czaszką, jakby szukała ujścia.

Otwarte drzwi kusiły. Nie odważyłem się. Kto na moim miejscu nie wietrzyłby pułapki? Drzwi w blokach mieszkalnych otwierano rzadko i zawsze o stałych porach, odpowiadających godzinom rozpoczęcia pracy. Całością kierował centralny system, w którego funkcjonowaniu, o czym ja mogłem najlepiej zaświadczyć, nigdy nie zanotowano awarii. Zdarzały się sporadyczne wieczorne apele, sytuacje wyjątkowe albo zdarzenia nieuwzględnione w regulaminie, wtedy jednak polecenie wyjścia na zewnątrz było zawsze poprzedzane stosownej treści komunikatem wyświetlanym na Ekranie i czytanym przez spikera.

Drzwi uchylone bez powodu? Przez siedemnaście lat życia w obozie podobna ułuda wolności nigdy nie była równie blisko.

Serce mi łomotało. Zdobyłem się wreszcie na odwagę i ostrożnie wysunąłem głowę. Na widok opustoszałego korytarza ogarnął mnie tym większy lęk. Wolałbym chyba ujrzeć pluton czających się za załomem strażników. Nie ma nic gorszego od strachu bez twarzy.

Wycofałem się tyłem, w przedpokoju przystanąłem, nie mogąc się zdecydować, co dalej. Mimo grozy chwili uległem pokusie ciała i spojrzałem przez ramię. Na Ekranie nieustannie przewijały się obrazy. Większość znałem na pamięć, niektóre śniły mi się po nocach. Sny czasem przynosiły ulgę, nie na długo jednak; ledwo zdołałem usunąć pod prysznicem lepkie pozostałości sennych marzeń, ta część we mnie, o której istnieniu jeszcze dwa tygodnie wcześniej nie miałem pojęcia, znów zaczynała przejmować nade mną władzę. Chwytałem do ręki pilota i przeczesywałem zasoby ENCYKLOPEDII w poszukiwaniu nowych podniet, podobny w tym do śmiertelnie chorego, który, choć jest świadomy nieskuteczności zastosowanej terapii, dzień po dniu aplikuje sobie coraz większe dawki placebo.

Nie poznawałem sam siebie w lustrze. Chuda twarz ze szpecącym, złamanym nosem i podkrążonymi oczami, na głowie czepek krótkich ciemnych włosów, policzki i brodę porastała czarna szczecina. W dole brzucha dość już gęsta szczotka owłosienia, a pod nią przyrodzenie, które domagało się ode mnie coraz większej uwagi. ENCYKLOPEDIA podaje, że w Wiekach Ciemnych w codziennym użyciu było co najmniej piętnaście różnych słów na określenie męskiego organu, jeszcze więcej zaś opisywało kobiece przyrodzenie. (Swoją drogą jak się to ma do oficjalnie lansowanej wersji o ubóstwie życia ludów w czasach przed nadejściem Wielkiej Zmiany?). Jakby czytała moje myśli, ENCYKLOPEDIA sama podsuwała mi wciąż nowe hasła i odpowiadające im wizualizacje. Kolorowe akty sygnowane hasłem „arcydzieła światowego malarstwa” przewijały się przez Ekran na przemian z czarno-białymi zdjęciami eksponującymi najdrobniejsze detale kobiecej anatomii. Od czasu do czasu trafiały się krótkie filmy ze scenami, które wyzwalały we mnie emocje podobne do tego, czego doświadczyłem oglądając przez szybę Kapitana z długowłosą kobietą. Sędzia miał rację; choć w jego obecności temu zaprzeczałem, to tamtego dnia wiele bym dał, by znaleźć się na miejscu Kapitana. Domyślałem się, kto mi umożliwia wgląd w tę szczególną część zasobów ENCYKLOPEDII, która dla innych – jak do niedawna i dla mnie – była niedostępna. Tylko po co? By chorego wpędzić w jeszcze większą chorobę? Każda oglądana na Ekranie kobieta przybierała twarz dziewczyny z platformy; choć się przed tym broniłem, oczami pamięci widziałem, jak Sędzia laską spycha ją w metalowe trzewia maszynerii. Słyszałem krzyk, ale nie odważyłem się przyjść jej z pomocą. Koszmar, który przeżywałem wciąż od nowa.

Nastawiłem uszu. Z korytarza dobiegał jednostajny chrobot. Ucichł, a zaraz potem rozległ się mechaniczny, jękliwy dźwięk. Coś mi przypominał. Powtórzył się jeszcze trzykrotnie, z coraz większym natężeniem. Zakradłem się do drzwi i wyjrzałem. Po prawej stronie korytarza, tuż przy ścianie, nie dalej niż dziesięć kroków ode mnie, stał robot na kółkach. Ktoś, kto model zaprojektował i zbudował, chciał, by możliwie najwierniej przypominał psa. O ile mogłem ocenić na odległość, mechaniczny pies sięgał mi prawie do kolan. Był kanciastych kształtów, w większości wykonany z połyskliwego, metalicznego tworzywa. Jakby spostrzegłszy moją obecność, znowu wydał z siebie jękliwy szczek, po czym oderwał się od ściany i potoczył się ociężale w prawo środkiem korytarza. Ruszyłem za nim.

Przez siedemnaście lat, dzień w dzień, po opuszczeniu mieszkania bez namysłu kierowałem się w lewo, obierając najkrótszą drogę do wyjścia. Dziś pierwszy raz szedłem prawą stroną korytarza. Niczym nie różniła się od lewej. Identyczne drzwi bez numerów, cementowa posadzka, nagie, pomalowano na biało ściany, w górze świetlówki i gęsty szpaler kamer. Robot najwyraźniej kontrolował, by dzieliła nas wciąż ta sama odległość – gdy zdarzyło mi się wydłużyć krok, on też przyspieszał, kiedy bezwiednie zwalniałem, zaczynał się toczyć wolniej. Spodziewałem się, że poprowadzi mnie drogą, którą niedawno przemierzałem pod eskortą żołnierzy. Myliłem się. Zatrzymał się na wysokości przedostatnich drzwi po prawej stronie korytarza. Również przystanąłem. Obrócił się przodem do drzwi, a kiedy się otworzyły, zapuścił się do środka.

Już na wprost drzwi zawahałem się. Mechaniczny pies, wyczekujący tuż za progiem, szczeknął przynaglająco. Minąłem go i znalazłem się w długim, wąskim pomieszczeniu bez okna, o ścianach wyłożonych metalem, przypominającym wnętrze kontenera, oświetlonym pojedynczą sufitową lampą. Z nawyku właśnie próbowałem zlokalizować kamery, gdy drzwi za moimi plecami zamknęły się, lampa zamigotała, na moment rozjarzyła się pełnym blaskiem, przyciemniała i wreszcie zgasła na dobre. Zrobiło się ciemno jak w bezksiężycową noc. Podłoga pod stopami się zatrzęsła. Wyciągnąłem ręce, próbując czegoś się uchwycić. Wyczułem palcami chłód metalu. Zrobiłem duży krok do przodu, obróciłem się, przywarłem plecami do ściany i szeroko rozstawiłem nogi. Szarpnęło. Zamknięty w metalowej klatce, w ciemności osuwałem się w dół.

Jazda trwała krótko. Drzwi się otworzyły i światło z zewnątrz mnie oślepiło. Odczekałem chwilę i, osłaniając oczy, wyszedłem na wąski korytarz. Obiektywy kamer bezszelestnie obróciły się w moją stronę. Świetlówki przygasły, na podłodze zapaliły się pulsujące, jasnozielone strzałki. Trąc kołami po cementowej posadzce, robot ruszył wytyczonym przez strzałki szlakiem.

Stąpałem wolno i patrzyłem pod nogi, wypatrując przeszkód. Robot sunął pewnie przed siebie. Podążając za strzałkami, skręcał to w lewo, to w prawo, bez wahania mijając miejsca, gdzie odnogi korytarza się przecinały. Za kolejnym załomem droga zaczęła piąć się lekko w górę. W oddali pojawiła się niebieskawa poświata. Światło padało z pomieszczenia po mojej prawej ręce. Doszedłem tam i, nie przekraczając progu, stałem i patrzyłem. Ciemność w pokoju rozświetlał mały monitor, na którego ekranie jak w lustrze widziałem moje pomniejszone odbicie. Zebrałem ręką z czoła krople potu i w tej samej chwili postać w monitorze przeciągnęła dłonią po czole. Robot zajazgotał, niebieska lampka na jego kanciastej głowie zgasła i ekran monitora także się wygasił. Zapaliło się pojedyncze sufitowe światło.

Sędzia stał przy półkolistym biurku, zastawionym baterią wygaszonych monitorów i przypominającą radioodbiorniki, metalicznie połyskującą aparaturą. Był ubrany w białe szerokie spodnie i biały, kończący się przed kolanami kitel zapięty na guziki. Skrzyżował ręce na piersiach i przykrótkie rękawy, opięte na grubych przedramionach, zdawały się pękać w szwach.

Pies przypadł ci do gustu? Chciałem ci sprawić przyjemność. Mam nadzieję, że to docenisz.

Milczałem, bo bałem się go urazić.

Siadaj, powiedział, wskazując głową fotel w głębi pomieszczenia.

Mebel stał na wprost wysokiego lustra zawieszonego na ścianie. Był masywny, z wysokim oparciem i podpórkami na ręce. Zawahałem się.

Usiądź, powtórzył.

W jego głosie nie było groźby ani przymusu. Usiadłem. Fotel był twardy, uwierał w plecy. Żeby lepiej rozłożyć ciężar ciała i zmniejszyć dyskomfort, oparłem przedramiona na podpórkach. Podszedł i zawiązał mi pod szyją dużą białą serwetę z miękkiego płótna.

Podnieś ręce, polecił.

Nałożył na podpórki solidną deskę i unieruchomił ją dwiema śrubami tak, że niemal przylegała mi do klatki piersiowej.

Po co to?

Nie odpowiedział. Z dużej tubki wycisnął na otwartą dłoń białą piankę i starannie rozprowadził mi ją po głowie. Potem brzytwą zaczął piankę zbierać. Ostrze równo i miarowo pocierało o napiętą skórę. Kiedy skończył, resztę białej masy zebrał ciepłą mokrą ściereczką i odstąpił o krok. Za jego przykładem spojrzałem w lustro. Czaszkę miałem idealnie gładką jak dawniej. Nie mogłem się zdecydować, czy jestem z tego zadowolony. Do zmian w wyglądzie zaczynałem już przywykać.

To konieczne?, spytałem.

Nie możemy się wyróżniać, odparł. Kolejną porcję pianki zaczął mi nakładać na policzki i brodę.

A ona? Kobieta o czarnych włosach, którą widziałem z Kapitanem?

To tylko naczynie, odparł. Ona i jej podobne nigdy nie wychodzą na powierzchnię. Przynajmniej w ciągu dnia.

Naczynie? Nie rozumiem?

Dowiesz się w swoim czasie. Wytarł brzytwę do sucha. Nie bądź niecierpliwy. Naucz się czekać.

Czekam od siedemnastu lat!

Wiem.

Zamiast wsłuchać się w ton głosu Sędziego i potraktować odpowiedź jak ostrzeżenie, brnąłem dalej.

Niektórzy wyjeżdżają po dwóch, trzech latach. Najdalej po pięciu. Chyba nie zaprzeczysz?

Rytmicznie pocierał ostrzem brzytwy o skórzany pasek. To prawda, odparł zdawkowo, jakby na tym chciał temat zakończyć.

Chyba nikogo nie trzymano w jednym miejscu tak długo jak mnie!

Widocznie jesteś wyjątkiem. W skupieniu obejrzał brzytwę pod światło. Odchyl głowę.

Zasłużyłem na lepszy los.

Być może.

Nie dostąpiłem nawet awansu na budowniczego!

Budujesz Mur.

Buduję? Cały czas noszę cegły!

Zostałeś bohaterem Rocznicy. To mało?

Nigdy nie byłem w Mieście! Ani choćby po drugiej stronie Muru! Nawet nie przekroczyłem Bramy!

Nie troszcząc się o konsekwencje, wyrzucałem z siebie słowa, jakby to były kamienie, które dotąd cierpliwie nosiłem, by przy podobnej sposobności wreszcie się ich pozbyć. Zapomniałem, do kogo mówię?

Stojąc tuż za mną, chwycił mnie palcami za brodę i głowę odchylił mi do tyłu. Uważasz się za pokrzywdzonego?, spytał. Dobrze cię zrozumiałem?

Trzymał mnie jedną ręką jak w kleszczach. W tej pozycji obejmowałem wzrokiem tylko górny fragment ściany i skrawek sufitu.

Po długiej chwili sam się odezwał. Zdarzają się tacy, co mają dość czekania, powiedział. Postanawiają odejść. Są na to sposoby.

Zimny metal musnął mi gardło. Szarpnąłem się w fotelu, ale nadziałem się boleśnie na deskę.

Jednak nie grzeszysz cierpliwością. Zaśmiał się. Pierwszy raz słyszałem, jak się śmieje, i piskliwy rechot przy jego posturze wydał mi się czymś nie na miejscu.

Zacisnąłem dłonie na podpórkach, zamknąłem powieki i poddałem się ruchom brzytwy.